Nr. 4. Kraków, w kwietniu 1905 r. Rok VI.



Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Wkrótce ma nadejść dzień wielki, dzień uroczysty Zmartwychpowstania Pańskiego. Ile pamiątek łączy w sobie ten dzień! jak drogim on jest dla serca każdego Polaka! o tem wiedzą wszyscy.

Chrystus po przebytej drodze krzyżowej, po śmierci męczeńskiej, zmartwychpowstał. Czyż i my nie mamy wierzyć, że i Ojczyzna nasza po przebytych tylu męczeństwach zmartwychpowstanie? że się już zaczyna rozbudzać do życia? Ten kamień, którym jej grób jest przyłożony, dzieci polskie wątłemi swemi siłami zaczynają podważać. Dopomóżmyż im, zbierzmy wszystkie siły bratnich narodów, stańmy jak jeden mąż, a zrzucimy go i wolną ujrzymy naszą matkę, Polskę. Lecz ażeby ten upragniony dzień mógł jaknajprędzej zawitać, zależy od nas samych.

Wejdźmy w siebie, pozbądźmy się wszelkiej pychy i nienawiści klasowej, wydrzyjmy wszelkie wady z serc naszych, a Bóg nam pomoże i błogosławić będzie pracy naszej.

A teraz drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, dzieląc się z Wami święconym jajkiem, życzymy Wam, żeby ta praca około wspólnego dobra naszego słodką Wam była i plon obfity wydała. Nie zniechęcajcie się doznanymi zawodami. Idźmy wytrwale, ale ciągle naprzód, a tylko tym sposobem pokonamy naszych wrogów.

Redakcya.

Do waszych chat!

Do waszych chat... idziemy w dal...
Skończył się smutek, skończył się żal,
Grób odwalony —
Zdeptany wróg...
Zmartwychwstał Chrystus...
Zmartwychwstał Bóg...
Więc my spieszymy do waszych chat,
Każda nam siostrą — każdy nam brat,
W radości wielkiej, w świątecznej ciszy,
Zda się głos serca każdy usłyszy.
Każdy zrozumie, czego życzymy,
Każdy to słowo, co przynosimy,
Do serca weźmie, sercem odpłaci,
Więc do was siostry, do waszych braci
Idziemy dzisiaj... idziemy w dal,
Skończył się smutek, skończył się żal.
Najszczerszych życzeń niesiemy kłos,
Niech Alleluji brzmi wtedy głos.
Do waszych chat... w radosny dzień,
Gdy znikł żałoby — pokuty cień...
Śmierć pohańbiona...
Do nieba wrót.
Otwarte wrota...
Przez drogę cnót.
Więc wam życzymy, byście doznały
Na smutnej ziemi, tej wielkiej chwały,
Którą przynosi życie cnotliwe,
Niech wasza droga, chociaż ciernista.
Od win i grzechów zostanie czysta —
Niech w waszych domach spokój zamieszka,
Niechaj zarośnie niezgody ścieżka.
Niechaj oświata zasiewa wiedzy
Ziarna złociste na polskiej miedzy.
Niechaj rozkwitnie szczęścia kwiatami,
I pieśń wesela niech będzie z wami.
Do waszych chat — idziemy w dal,
Skończył się smutek — skończył się żal,
Życzeń serdecznych niesiemy kłos,
Niech Alleluji... brzmi wtedy głos.

Jadwiga z Łobzowa.

Wielki Czwartek warszawski 1794 roku.

Wieść, o złożeniu w dniu 24 marca 1794 roku, na Rynku krakowskim przysięgi narodowi polskiemu przez Tadeusza Kościuszkę i rozpoczęciu boju o niepodległość Polski, a równość i wolność wszystkich jej mieszkańców, lotem błyskawicy rozbiegła się po całej Rzeczypospolitej i wszędzie silny odzew znalazła; największe jednak wrażenie sprawiła w stolicy, w sercu Polski, w Warszawie. Tam na wieść tę dawno już czekano. Tam wyglądało jej wojsko narodowe, wyglądali mieszczanie i rzemieślnicy warszawscy.

Wojsku pilno było pozbyć się nieproszonych moskiewskich kolegów, którzy rozpierali się po stolicy, pilno było udowodnić, że w roku 1792 mogło zwyciężyć i że mu wówczas wbrew jego sile i woli podstępnie zwycięstwo wydarto.

Mieszczanie i rzemieślnicy radzi byli pozbyć się ucisku moskiewskiego i odzyskać na nowo prawa, któremi obdarzyła ich konstytucya 3-go maja, a które im Moskale i zdrajcy wydarli. Niecierpliwił ich i nieznośnym im był widok króla pozbawionego władzy i ambasadora carycy Katarzyny, generała Igelstroma, gospodarującego w Warszawie i w Polsce, jakby w jakim kraju podległym carskiemu rządowi.

To też już dawno pomiędzy wojskiem i ludem warszawskim utworzony był tajny związek, który tylko czekał sposobnej chwili, by chwycić za oręż i rozprawić się z najezdnikami. Na czele związku tego stali oficerowie wojska polskiego, oraz kilku patryotów cywilnych, a wśród nich szewc Jan Kiliński, radny miejski, ukochany przez lud i rzemieślników, który był sercem i najgorliwszym członkiem związku.

Do związku tego należały setki osób, a przecież umiano tak tajemnicy dochować, że Moskale nic o nim nie wiedzieli. Domyślali się, że się coś knuje, że zagraża im niebezpieczeństwo, lecz skąd i jak im zagrozi, dowiedzieć się nie mogli. Igelstrom utrzymywał setki szpiegów, rozsyłał ich na wszystkie strony, węszył i wywiadywał się — wszystko nadarmo. Kosztowało go to huk pieniędzy, a wiedział tyle, co wszyscy wiedzieli, że Warszawianie radziby Moskali ze stolicy i Polski wypędzić.

Nie udawało się tak Igelstromowi, bo związek był wybornie zorganizowany i wszędzie miał swoich ludzi, nawet między urzędnikami i szpiegami Igelstroma, którzy przywódzcom związku o wszystkiem donosili.

Raz jeden udało się Igelstromowi dowiedzieć o posiedzeniu związku i o bytności na nim Kilińskiego. Kazał go więc zawołać do siebie i zaczął brać na spytki, ale sprytny majster tak pana ambasadora umiał otumanić, że ten, chociaż lis przebiegły, uwierzył, że Kiliński jest przyjacielem Moskali i puścił go wolno.

Na wiadomość o przybyciu Kościuszki do Krakowa i ogłoszeniu powstania, Igelstrom wysłał część wojska moskiewskiego pod Kraków, częścią otoczył Warszawę dokoła w milowej od miasta odległości, z poleceniem niepuszczania do niego nikogo, a resztą, liczącą 8 tysięcy ludzi i dział kilkadziesiąt, obsadził samo miasto, strzegąc pilnie każdego poruszenia wojska polskiego i ludności warszawskiej. Skoro zaś dowiedział się o zwycięstwie Kościuszki, odniesionem dnia 4-go kwietnia pod Racławicami, zarządził, ażeby żadnych listów ani wiadomości do Warszawy nie wpuszczano.

Na nic to się jednak nie zdało. Równocześnie z nim, dnia 12-go kwietnia, cała Warszawa o racławickiem zwycięstwie wiedziała, a tradycya mówi, że w chwili, gdy ambasador w kwaterze przy Miodowej ulicy wydawał rozkazy, mające Warszawianom uniemożliwić dowiedzenie się o Racławicach, już ulicą tą biegł szewski chłopak, wyśpiewując wesoło:

„Od Racławic nasze braty
Zbiły wrogów tam zakaty —
Zbiły, stłukły, zmordowały,
Armaciska odebrały".

Wieść radośna o zwycięstwie racławickiem do głębi poruszyła Warszawę, a ponieważ święta wielkanocne przypadały dnia 20 kwietnia, związkowi postanowili zaraz po ich odprawieniu chwycić za oręż. Stało się jednak inaczej. Warszawa w r. 1794 miała równocześnie ze świętami wielkanocnemi obchodzić zwycięstwo wolności. Powodem przyspieszenia powstania, czyli jak wówczas nazywano „insurekcyi" w Warszawie, była wiadomość o tajnej umowie pomiędzy Igelstromem a niecnym zdrajcą biskupem Kossakowskim, według której rezurekcya miała się odbyć dnia 19 kwietnia, jako w wielką sobotę, we wszystkich kościołach warszawskich równocześnie, o godzinie 8-ej wieczorem, a to w tym celu, ażeby, gdy lud i wojsko polskie zgromadzi się po kościołach, otoczyć je wojskiem moskiewskiem, a równocześnie zabrać arsenał i wojsko nasze rozbroić.

Arsenał jest to skład broni. W warszawskim arsenale było pełno karabinów, dział, pałaszy i t. p., którą to bronią miano lud uzbroić w chwili powstania; gdyby go więc byli Moskale zabrali, a do tego jeszcze żołnierzy naszych rozbroili, nie byłoby czem walczyć z wrogami.

Na szczęście piekielny ten zamiar ambasadora zaledwo powstał, zaraz, dnia 15 kwietnia, doszedł do wiadomości przywódzców związku, którzy postanowili przejścia świąt nie czekać, lecz już we czwartek, dnia 17 kwietnia 1794 r., przed świtem za broń pochwycić.

Nie łatwa to była sprawa...

W Warszawie stało wprawdzie trochę więcej niż dwa tysiące polskich żołnierzy, ale jak powiedzieliśmy wyżej, Moskali było przeszło 8 tysięcy.

Nie dosyć tego. Ambasador Igelstrom tak porozstawiał wojsko swoje po mieście, że każdy oddział naszych żołnierzy otoczony był i strzeżony przez kilka silniejszych od niego oddziałów moskiewskich.

Mimo to oficerowie i mieszczanie należący do związku, zebrawszy się dnia 15 kwietnia w koszarach artyleryi polskiej u porucznika Kubickiego, poszli za radą Kilińskiego i postanowili, że dnia 17 kwietnia, w wielki czwartek, o godzinie 4-tej rano, na dany znak wystrzałem armatnim przed arsenałem, ozwie się największy dzwon warszawski w kościele Bernardynów, odpowiedzą mu dzwony wszystkich innych kościołów. Na to hasło żołnierze nasi uderzą na Moskali, lud zaś zbierze się koło arsenału i tam się uzbroiwszy, podąży do kwatery ambasadora przy Miodowej ulicy.

Wykonanie planu tego nie było łatwem, a to tem bardziej, gdy jak wiadomo, Igelstrom miał licznych szpiegów, którzy donosili mu o wszystkiem, co się w mieście działo. Na szczęście dnia 15 i 16 kwietnia szpicle ambasadorskie spisały się bardzo licho, tak, iż Igelstrom nie przeczuwał rychłego wybuchu powstania.

Tymczasem związkowi przez wielką środę i noc następną przygotowywali się do walki.

Kiliński przez cały ten czas nie spoczął ani na chwilę. Rozwoził po mieście proch i kule, wydawał rozkazy, zachęcał i zagrzewał do wytrwałości i męstwa.

Dopiero nad ranem, dnia 17 kwietnia, wpadł na chwilę do domu, by pożegnać żonę i dzieci.

Nadeszła wreszcie stanowcza, grozy pełna chwila — rano, dnia 17 kwietnia 1794 roku, wydzwoniła czwarta na warszawskich zegarach...

Zagrzmiało działo przed arsenałem — za chwilę ozwał się olbrzymi dzwon bernardyński — odpowiedziały mu dzwony Fary, Dominikanów i innych kościołów...

Spokojna dotychczas, spać się dająca Warszawa, nagle groźnem zawrzała życiem.

Na wszystkich ulicach rozległy się okrzyki: do broni! W stu miejscach ozwał się łoskot wystrzałów. I rozpoczęła się walka.

Lud biegł zewsząd ku arsenałowi, chwytał broń, którą oficerowie polscy wyrzucali mu przez okna i formując się w zbrojne oddziały ruszał, wśród radośnych okrzyków, ku Miodowej ulicy.

Wojsko polskie również ku arsenałowi dążyło, rozpędzając po drodze napotkanych Moskali.

Ambasador Igelstrom, zbudzony hukiem armat, dosiadł konia i otoczywszy wojskiem kwaterę swoją, postanowił bronić się do upadłego.

Kiliński obsadził ludem wszystkie dostępy do ulicy Miodowej tak, by ambasador nie mógł mu się wymknąć, a obawiając się, by inne korpusy moskiewskie w pomoc Igelstromowi nie przyszły, z wielkiem zastępem ludu ruszył w północną stronę Warszawy, na tak zwane Muranowskie. Tu rozbił batalion grenadyerów, zabrał mu armaty i wypędził za miasto. Potem skręcił na zachód i dopadłszy drugiego batalionu na Lesznie wespół z gwardyą pieszą koronną, stojącą przed arsenałem, zmusił go do złożenia broni.

W innych stronach stolicy również nie próżnowano. Wszystko ruszało w bój, nawet straż króla strzegąca.

Ta w sam czas przybyła z zamku na Senatorską ulicę, by wesprzeć lud, który zaczął ustępować w tem miejscu pod naciskiem nieprzyjaciela.

Równocześnie na południowym krańcu Warszawy, przed koszarami na Ujazdowie, stał gotowy do wyruszenia pułk, czyli jak wówczas zwano pułki piesze, regiment imienia Działyńskich.

Oficerowie niespokojnie przechadzali się przed frontem, żołnierze rwali się do boju pełni niecierpliwości. Dowódzca regimentu jednak, pułkownik Haymann, wstrzymywał wymarsz pod rozmaitymi pozorami. Był to bowiem Niemiec w służbie polskiej, nadzwyczaj dbały o swoją skórę. Nie mógł się sprzeciwiać regimentowi, który jak jeden mąż żądał, by go prowadzono na wroga, z drugiej jednak strony chciał się Haymann zabezpieczyć na wypadek nieszczęśliwego wyniku insurekcyi i dlatego cichaczem posłał na zamek królewski po rozkazy do Ożarowskiego, Hetmana Wielkiego Koronnego, chociaż wiedział, że to zdrajca i stronnik Moskwy.

Haymann spodziewał się, że Hetman każe mu ciągnąć do zamku, który leżał po drugiej stronie miasta. Idąc tam na rozkaz hetmański, musiał spotkać Moskali i walczyć z nimi, gdyby się jednak sprawa nie udała, miałby zasłonę w tym rozkazie.

Jakoż nie zawiódł się przebiegły Niemiec. O 5-tej rano wrócił posłaniec jego z takim rozkazem i Haymann nie wstrzymywał już dłużej regimentu.

Uradowani żołnierze ruszyli chyżo ku miastu i wkrótce spotkali grenadyerów moskiewskich, którzy wycelowawszy na nich armaty, zagrodzili im drogę pomiędzy kościołami Dominikańskim i św. Krzyża.

Zawiązała się zacięta walka ogniowa. Nasi obsadzili domy przy ulicy Świętokrzyskiej i Ordynackiej, skąd prażyli nieprzyjaciela. Nadto chorąży Urbanowski z kilkunastu żołnierzami opanował wieżę kościoła dominikańskiego i zmiatał stąd celnymi wystrzałami kanonierów moskiewskich, strzelających do naszych. Dopomagał mu w tem jakiś zuch mieszczanin z wieży świętokrzyskiej tak dzielnie, że działa moskiewskie wkrótce umilknąć musiały. Natomiast nasze, stojące na Sułkowskiem przed kościołem Dominikanów, grzmiały ciągle, bo chociaż kanonierzy polscy polegli, stanęły w ich miejsce dobosze pułkowi, czternastoletnie chłopcy i waliły z dział, jak stare wiarusy.

W ten sposób walka się przeciągała. Wreszcie około południa wysłał Haymann oddział naszych z jednem działem boczną uliczką, by Moskali z lewego boku zaatakowali; ze szkoły kadetów, do której grenadyerzy tyłem zwróceni byli, zaczęły na nich padać strzały, a od końskiego Targu, z tyłu i na prawo Moskali, rozległy się okrzyki ludu, który pokonawszy nieprzyjaciół na Lesznie, przybywał pod wodzą Kilińskiego Działyńszczykom na pomoc.

Na odgłos tych okrzyków regiment Działyńskich opuszcza zajęte domy i z bagnetem w ręku uderza na grenadyerów. Ci przyjmują go gwałtownym ogniem, który druzgoce wierzch drzewca pułkowej chorągwi, a ją samą szarpie na szmaty, lecz mężny podchorąży podrzuca ją w górę i niesie nieustraszenie w najgęstszy tłum nieprzyjaciół.

Wre walka — grenadyerzy otoczeni zewsząd łamią swe szeregi. Dowódzcy ich generałowie: Miłasiewicz i książe Gagaryn starają się sformować ich w czworobok — na darmo — przerażeni Moskale cofają się w nieładzie ku końskiemu Targowi. Gagaryn pada zabity, Miłasiewicz raniony idzie w niewolę — grenadyerzy ostatniem rozpaczliwem wysileniem przebijają się przez zastępy zbrojnego ludu i w dzikim nieładzie uciekają przez Koński Targ,

ulicę Mazowiecką i szubieniczne rogatki w pole za miasto. Ucieczka ich rzuca popłoch pomiędzy inne oddziały moskiewskie, zajmujące południowe ulice Warszawy. Oddziały te, nie czekając napadu Polaków, idą za przykładem grenadyerów i pierzchają poza rogatki.

Tak przyjście w sam czas Kilińskiego z ludem pod św. Krzyż i dzielne jego natarcie na Moskali, potyczkę stoczoną w tem miejscu zakończyło zwycięstwem, które rozstrzygnęło losy warszawskiego powstania na korzyść wolności. Odtąd zupełne jej zwycięstwo wśród murów stolicy stało się niewątpliwem.

Regiment Działyńskich pociągnął wśród radosnych okrzyków ludu na Krakowskie Przedmieście i stanąwszy tutaj naprzeciw zamku królewskiego, wysyłał ochotników w pomoc ludowi zdobywającemu kwaterę Igelstroma.

Broniący jej Moskale zajmowali domy przy ulicy Miodowej, oraz nieopodal od niej leżący pałac i dziedziniec Rzeczypospolitej. Dziedziniec ten przytykał do placu przed arsenałem, z którego armaty polskie strzelały na niego, a lud przypuszczał atak za atakiem i zwolna coraz ciaśniejszem kołem otaczał nieprzyjaciół.

Równocześnie w kilkunastu innych miejscach dobywano mniejszych oddziałów Moskali, broniących się w zatarasowanych domach.

Ambasador widząc, że położenie jego pogarsza się z każdą chwilą, rozsyłał na wszystkie strony swoich adjutantów i innych oficerów, chcąc sprowadzić do swojej kwatery rozprószone po mieście moskiewskie oddziały, oraz te, które uszły za miasto po rozprawie pod św. Krzyżem. Wysłańcy ci jednak wpadali w ręce ludu i bądź szli w niewolę, bądź broniąc się ginęli.

Jeden z nich tylko potrafił dotrzeć do oddziałów zgromadzonych za miastem. Oddziały te, liczące 4 tysiące ludzi i dział 24, zatrzymał w polu i uporządkował generał Nowicki; nie wiedział jednak co z nimi począć -- dopiero otrzymawszy rozkaz Igelstroma, wkroczył na ich czele napowrót do miasta.

Cztery tysiące wojska z dwudziestu czterema działami, to nielada siła — przecież gdy korpus ten wkraczał na plac S a s k i, garstka ludu zaledwo z 50-ciu do 60-ciu osób złożona z jedną armatką, zastąpiła mu zuchwale drogę i tak dzielnie powitała, że Moskale zatrzymali się i kroku naprzód uczynić nie śmieli, a gdy niedługo drugi taki sam oddziałek ludu zaatakował ich z boku, zawrócili na lewo w tył i co sił stało uciekli powtórnie za miasto!

Mężniej się spisał major Titów, który rozbity rano na Muranowskiem przez lud pod wodzą Kilińskiego i wypędzony w pole, powrócił o 4-tej po południu do miasta na czele swoich grenadyerów przez marymontskie rogatki i chociaż nie miał żadnego od ambasadora rozkazu, pomimo piekielnego ognia powstańców, przez jaki przebrnąć musiał w ulicy Zakroczymskiej, o zachodzie słońca dotarł do bocznej bramy dziedzińca Rzeczypospolitej, wychodzącej na Świętojerską ulicę.

Przez bramę tę chciał wprowadzić swoich grenadyerów na wspomniany dziedziniec i połączyć się z ambasadorem. Już pierwsze szeregi grenadyerów postępując ulicą Świętojerską, dochodziły do bramy dziedzińca, gdy nagle trzy nasze armaty, stojące przed arsenałem, obsypały ich kartaczami, a tuż za tą salwą, niemal z nią równocześnie, wpadł na Moskali zbrojny w topory cech rzeźników, pod wodzą mężnego S i e r a k o w s k i e g o.

Zawrzała straszna walka. Rzeźnicy rąbią straszliwie — grenadyerzy zasłaniają się bagnetami, lecz te idą w drzazgi pod uderzeniami stalnych toporów. Nie upłynęło dziesięć minut, a cały batalion Titowa, przeszło 800 grenadyerów liczący, legł trupem. Zaledwo garstka niedobitków, przedarłszy się przez mężne zastępy nieubłaganych rzeźników, zdołała się schronić na dziedziniec Rzeczypospolitej, unosząc za sobą ciężko ranionego majora.

Była to ostatnia pomoc, jaka przybyła Igelstromowi. Od tej chwili nie ulegało wątpliwości, że lud zdobędzie jego kwaterę.

W czasie, gdy Titów przedzierał się dopiero przez ulice miasta ku kwaterze ambasadora, Kiliński obstawiwszy ją dobrze ze wszech stron, udał się z częścią ludu na zamek. Tu na K r ó l e w s k i m d z i e d z i ń c u okrzyknięto Ignacego Zakrzewskiego Prezydentem, a generała Stanisława Mokronowskiego Komendantem miasta, poczem udano się na ratusz miejski, gdzie licznie zgromadzeni cywilni i wojskowi obywatele obrali „R a d ę z a s t ę p c z ą t y m c z a s o w ą“, w ręce której oddali władzę nad miastem Warszawą i województwem mazowieckiem, w oczekiwaniu rozkazów i przybycia Najwyższego Naczelnika, Tadeusza Kościuszki.

Tymczasem bój nie ustawał. Słońce zaszło, zmrok zapadać począł. Lud obawiając się, by mu Igelstrom pod ochroną ciemności nie uszedł, porozpalał na ulicach ognie. Wnet jednak na pogodne, gwiazdami wyiskrzone niebo wtoczył

się księżyc i zajaśniała noc wspaniała, jak dzień jasna.

Lud nacierał z coraz większem męstwem i odwagą; Moskale wiedząc, jak bardzo mu dokuczyli i nie spodziewając się ocalenia życia przez poddanie, bronili się uparcie.

Po pięknej nocy zaświtał równie pogodny poranek, z pierwszymi jego brzaskami nowe oddziały ludu otoczyły Moskali, położenie ich z każdą chwilą stawało się rozpaczliwszem.

Ambasador widząc wreszcie, że lud lada chwila zdobędzie jego kwaterę, zostawił w niej 400 grenadyerów pod dowództwem pułkownika Parfentiewa, a sam cofnął się z resztą Moskali na dziedziniec Rzeczypospolitej; lecz i tu bezpiecznie nie było.

Postanowił przeto uciekać, przedtem jednak wysłał do arsenału generała Bauera ze śmiesznem bardzo zapytaniem, czy tocząca się walka nie jest jaką pomyłką i czyby się nie dała załatwić w inny sposób?

Odpowiedziano mu, że żadna pomyłka nie zaszła, a sprawę może ambasador „w inny sposób“ załatwić: przez złożenie broni.

Kto wie, czy odpowiedź ta nie byłaby trafiła do przekonania wystraszonego Moskala, ale przeszkodził temu podkomendny jego generał Pistor, który nakłonił Igelstroma, by nie zmieniał swego postanowienia i w przebraniu z małym oddziałkiem wojska uciekł za miasto.

Chociaż z wielkim trudem, udała się ta sztuka ambasadorowi. Wymknął się niepostrzeżenie i przedarłszy bocznemi uliczkami, uciekł do Prusaków, którzy stali o milę od Warszawy, oczekując wyniku powstania.

Tymczasem lud nie zauważywszy ucieczki ambasadora, dalej dobywał jego kwatery. Wzięto dziedziniec i pałac Rzeczypospolitej, wyparto Moskali z ulicy Miodowej, a wreszcie o godzinie 3-ciej po południu, dnia 18 kwietnia 1794 roku, pomimo rozpaczliwej obrony grenadyerów, lud przystawiwszy drabiny do okien kwatery Igelstroma, wdarł się do niej, niby niepowstrzymane potopu fale, z terminatorami szewskimi na czele, którzy w dniu tym dokazywali cudów waleczności.

Inne oddziały moskiewskie były już dawno pobite, lub wzięte do niewoli. Ci Moskale, co uszli dnia poprzedniego za miasto, pomaszerowali w górę Wisły ku Karczewu i byli już daleko, Prusacy ujrzawszy uciekającego Igelstroma, cofnęli się co żywo. Tak więc w chwili, gdy grenadyerzy Parfentiewa padli na kolana i błagając o darowanie im życia, rzucili karabiny pod nogi zwycięskiego ludu, Warszawa była wolną!

Dwa tysiące najezdników zaległo trupami swoimi jej place i ulice — drugie tyle ich wzięto do niewoli.

Nazajutrz radośnie wzywały dzwony warszawskie wolnych obywateli na rezurekcyę, a świąt wielkanocnych równie wesołych, jak w roku 1794, nie miała stolica Polski ni przedtem, ni potem.

Tak lat sto jedenaście temu walczył lud warszawski — tak mężnie i walecznie, zdobywał wolność pod wodzą nieustraszonego szewca bohatera, zostawiając nam świetny przykład do naśladowania. Przykład poświęcenia i męstwa, który nam dziś więcej niż kiedykolwiek tkwić w pamięci i przyświecać powinien.

Inż. E. Śmiałowski.

WIOSNA.

Ruń zielona okryła całą ziemię, która po kilkomiesięcznym śnie zimowym, zbudziła się do nowego życia. Cała przyroda rozweselona, rozśpiewana, zaczyna przywdziewać na siebie cudnej zieleni szaty, przystrajać ją drobnym kwieciem wiosennych pierwiosnków, stokrótek, złoceni i wiele innych, a tak uroczo odświeżona, odrodzona, kąpie się w ciepłych promieniach kwietniowego słońca Skowronek, ten najwcześniejszy śpiewak, mieszkaniec pól, unosi się wysoko ponad świeżo zoraną rolą, śpiewając piękne melodyjne piosenki, które jak modlitwa w zaraniu wiosennem, płyną w nieskończoność niebieską.

Na drzewach lśniące zielone listeczki ostrożnie rozwijać się zaczynają z pączków, jakoby niedowierzały kwietniowej pogodzie, bojąc się, by ich szronem nie zmroziła

A ludzie, uszczęśliwieni, iż doczekali wiosny, gromadnie wychodzą z domów. Jedni idą uprawiać rolę pod wiosenne zasiewy, inni, krzątają się około domów, a każdy całą piersią wchłania w siebie świeże wiosenne powietrze, które ogrzane ciepłymi promieniami słońca, dodaje sił każdemu jak balsam zdrowotny.

Ale nie wszyscy rodacy nasi cieszyć się mogą tą piękną wiosną. Ileż to rodzin tam za

kordonem okrytych żałobą? ile matek opłakuje swych synów? wdowy i sieroty swych mężów i ojców? i nie mają nawet tej pociechy, żeby się pomodlić nad ich mogiłami, zasadzić trochę kwiecia, postawić krzyżyk, bo oni tam na dalekim wschodzie, za setkami mil w wspólnych dołach, nawet źle ziemią okryci, spoczywają.

Tych, którzy stali się pastwą rozbestwionych siepaczy, na ulicach Warszawy i innych miast polskich, krew niewinnie przelana nie zmarnuje się, bo z każdej kropli wyrośnie mściciel, który w przyszłości zapłaci wrogom naszym za wszystkie doznane krzywdy swych przodków.

Całe zastępy nowych męczenników, złożonych z naszych rodaków, odeszło temi czasy do nieba. Oni tam zaniosą skargę przed tron najwyższego Sędziego, na naszych ciemiężycieli i może wyproszą nam lepszą dolę. Dla nas zostaje tylko jedna pociecha, że te tysiące poległych naszych braci, stały się przygnębiającą klęską wroga naszego, a dzielny naród japoński płaci mu za nasze krzywdy.

A że wkrótce obchodzić mamy uroczysty dzień Zmartwychpowstania Pańskiego, więc dzieląc się święconem jajkiem, życzmy sobie, żeby Pan Bóg ulitował się nad nieszczęśliwymi braćmi naszymi pod zaborem rosyjskim i pruskim mieszkającymi i położył kres tym strasznym prześladowaniom. Łączmy się z nimi sercem i dłonią, bo tylko zgodą i wspólną pracą dojść możemy do upragnionego celu.

W. Ciechomska.

Jedna wiosna!

Ileż to razy... ile to razy wstaje wiosna nad ziemią!!...

Pójdzie słonkiem wysoko po niebie, rzuci ciepłem po zamarzłej ziemi, wionie wietrzykiem lekkim dokoła i już świat inny... już idą pługi, wloką się brony, niosą gospodarze ziarno z komory — rozpoczyna się śliczna, święta praca na chleb na przyszłość roku drugiego.

Lecz jest taka wiosna, która tylko jeden raz wstaje. Jeden raz tylko słońcem jasnem świeci, jeden raz nadzieja wszystko ożywia, jeden raz ziarno siejby rzuca...

Wiecie wy, co to za wiosna?...

To lata młode waszych dzieci!

Jeden raz tylko młodość jest dla ludzi, jeden raz tylko serce dziecka da się wyrabiać na szlachetne serce człowieka, jeden raz tylko duch młodzieńczy da się kształcić i oświecać, ażeby omijał drogi błędów ciemnoty.

Jeśli ty matko źle swoją grudę jednego roku obrobisz i niedbale zasiejesz, to na drugi rok musisz zrobić to lepiej.

Ale jeśli to dziecko źle i niedbale wychowasz, już nie naprawisz omyłki.

Wiosna ziemi... litościwa jest.. wraca ciągle i stale.

Wiosna ludzi jest nieubłagana.

Raz błyska — miga i gaśnie...

Ileż razy ludzie potem stają, żalą się i narzekają... gdyby! o gdyby było inaczej w moim dzieciństwie!...

Zdarzy się wreszcie rzadko bardzo kiedy, iż ten lub tamten zdoła jeszcze jako tako naprawić to, co źle było w młodości jego uczynione, ale najczęściej omyłki takie zostają niewynagrodzone.

Popatrz matko na każde swe dziecko i pomyśl, długo pomyśl, zanim odważysz się rzec: wiosna ta nie została zmarnowana!... Wszystko co ty dziecinie dasz jako naukę, jako nawyknienie, jako przykład, to wszystko pada ziarnem na rolę bujną i plon przyniesie. Uważajcie matki!.. uważajcie rodzice!... Wiosna tylko jeden raz dla waszych dzieci wschodzi i tylko jeden raz jest czas siejby!... Czego nie nauczycie młodych — nie nauczycie już starszych...

Jakże potem smutno i straszno popatrzeć na te pola, których gospodarz nie zaorał i nie zasiał... Same osty i chwasty... Tak i w życiu tych ludzi, którym rodzice w porze młodości nie zasiewali serca nauką, przykładem i zachętą.

Jedna wiosna przejdzie... a potem za późna praca...

Do siejby rodzice!... Bogata to niwa serce waszych dzieci.. tylko siać i orać!

Jadwiga S.



†

Ś. p. Marya Wysłouchowa.

Dnia 2 marca b. r. zasnęła we Lwowie snem wiecznym po pracy i trudach — Marya Wysłouchowa.

Zna ją cały uświadomiony lud nasz z Jej przepięknych artykułów — z Jej książeczek — z Jej gorącej miłości ludu i sprawy jego — z jej miłości do ziemi ojczystej — do wszystkiego co polskie.

„Pismem, słowem żywem, serca czuciem i pracą nieustanną niosła do chat wiejskich światło, wiedzę, pokrzepienie na duchu, hasła szczęśliwej przyszłości. Ojczyznę kochała gorąco całą swą duszą płomienną i miłość tę kraju nieprzerwanie szczepiła w serca wieśniaków, starała się zbudzić u nich, podnieść obywatelskie uczucia, uczynić z chłopów światłych, godnych synów Ojczyzny.

Pisała dużo, były to albo życiorysy zasłużonych pisarzy. Jak Goszczyński, Ujejski, oddanych szczególnie sprawie oswobodzenia Ojczyzny, albo dawała opisy różnych miejscowości ziemi naszej, albo wspomnienia powstań narodowych, z tych najpiękniejsze jest niewątpliwie „Za wolność i lud“. Każde słowa w tych książeczkach jest jakby krwią z pod serca i łzami miłości pisane. Z nich to łacno nauczyć się można, jak Ojczyznę miłować należy i jak jej służyć.

W ostatnich latach wydawała pismo dla ludu *Zorzę*. Z każdej stronnicy wieje tam szczera, serdeczna miłość dla wiejskiego ludu, a jak umiała trafić do serc czytelników, najlepiej świadczą liczne odpowiedzi i listy, którymi ze wszech stron kraju zasypywano ukochaną redaktorkę.

Lecz nie tylko pismem, nie tylko z daleka od swego pisarskiego biurka umiała porozumieć się z ludem Marya Wysłouchowa zwykle nieraz po późnej jesieni, przepędzała czas na wsi. Tam trzeba było ją widzieć Nierzadko w wiejskich chatach mieszkając, odmawiała sobie wszelkich tych wygód, do jakich będąc od dzieciństwa przywykła, byle tylko bliżej być z ludem, a jak dzieliła ich chleb i ognisko, tak żywy udział brała w ich doli i niedoli, niosąc pociechę, pogardę, nadzieję, nierzadko pomoc materyalną, a zawsze światło wiedzy i szczerą miłość. Znają Maryę Wysłouchową wioski galicyjskie, zna ją i Śląsk. Na Śląsku zwłaszcza dużo pracowała, nader ukochała tutejszy lud światły, miłujący swą ziemię, walczący zaciekle o prawa swoje z opływającą go niemczyzną.

Marya z Boutfalów Wysłouchowa urodziła się na Litwie i wcześnie, jeszcze za bardzo młodych lat, postanowiła oddać się wyłącznie pracy dla ludu. Ale tamtejsze warunki, straszliwy ucisk rządu rosyjskiego nie dozwoliły jej rozwinąć pracy tak, jakby sobie życzyła.. Przed laty przeszło dwudziestu przyjechała do Lwowa. Jako żona redaktora *Kuryera Lwowskiego* pracowała niemało w tem piśmie, a stanowisko jej męża ułatwiło jej zbliżenie się do ludu. Odkąd zamieszkała w Galicyi, żyła już całkowicie w pracy dla ludu, ustawicznej, a zawsze gorącej, zawsze podniosłej wysoko. Aż wielkie to serce nie wytrzymało wreszcie ogromu prac i uczuć. W ostatnich latach nawiedziona straszliwą chorobą serca, jeszcze zmagając się z bolem, do wyczerpania ostatnich sił, pracowała piórem. A czem silniej zajmowało ją cierpienie fizyczne, tem wyżej, tem szlachetniej wznosił się jej duch. Aż zgasła w sile wieku, zaledwo lat czterdzieści licząca, w pełni swych prac na najsłużeńszej niwie narodowego odrodzenia. Pamięć jej droga każdemu sercu polskiemu“.

Pogrzeb ś. p. Maryi Wysłouchowej odbył się wspaniale — włościanie ją nieśli na barkach. Wszystkie niemal lwowskie stowarzy-

szenia miały swych przedstawicieli. — Wieńce, szarfy, kwiaty, okryły cały karawan. Bukiet palm od redakcyi *Przodownicy* nieśli włościanie, z napisem: redakcya *Przodownicy* Tej, która całem sercem ukochała lud polski. Żałobnie i smutnie wyglądało to miasto, w którem to wielkie serce przestało bić, ożywiać swem uczuciem. Każde przemówienie, a było ich kilka, tchnęło wielkim żalem i smutkiem, wielkim uznaniem dla tej zacnej polskiej niewiasty. W pierwszym roku założenia naszego pisemka *Przodownicy*, należała Marya Wysłouchowa do grona redakcyjnego, a nawet była jego przewodniczką. Znacie Ją więc Drogie Czytelniczki z jej cudnych artykułów treści historycznej. Aby dać Wam wyraz, jakim cieszyła się uznaniem i uwielbieniem za swe niespożyte zasługi, przytaczamy Wam przemówienie, które nad jej zwłokami wygłosił włościanin poseł Jakób Bojko:

„Niewiastę mężną któż znajdzie? Zdala i od ostatecznych granic cena jej".

„Słowa, które powiedział o kobiecie mężmędrzec pański, możemy śmiało wystosować do tej zacnej Polki, która leży oto w tej trumnie. Tego rodzaju kobiet mamy niewiele, a widać, że ich wogóle od wieków nie było dużo pomiędzy innemi narodami, skoro mędrzec pański się pyta: „Niewiastę mężną któż znajdzie?" Na szczęście naszego biednego narodu zsyła nam Pan Bóg od czasu do czasu kobiety, z większem nieraz poświęceniem, męstwem, aniżeli u mężczyzn się spotyka. Ś. p. Marya należała właśnie do takich postaci, i lubo w cichej pracy, dołożyła piękny kamień do budowy uświadomienia ludu. Całe życie upłynęło Jej nie na balach, nie na tańcach, ale na zbożnej pracy nad uświadomieniem tych, którzy są uważani przez cały naród za owe śpiące rycerstwo, które trzeba zbudzić. Pisarzy ludowych liczyliśmy i liczymy niewielu, ale kobiet piszących zrozumiale, a serdecznie dla ludu, mamy jeszcze szczuplejszą liczbę. Ś. p. Marya widząc, „że choć jest ziarno, niema rąk do siania", rzuciła się z całym zapałem swego silnego ducha, choć tak w słabiuchnem ciele i swem subtelnem piórkiem, a matczynem sercem podawała wieśniaczej rzeszy zdrowy i pokrzepiający pokarm. I w tem Jej olbrzymia zasługa.

Wszystkie Jej pisma są pełne miłości Ojczyzny, a tendencyą ich jest zrodzić niejako z biernych rzesz chłopskich milionowe rzesze świadomych synów matce Ojczyźnie. W swych pracach przedkładała mu przed oczy to konstytucyę 3 maja, to chłopskiego kochanka Kościuszkę, to poetę, a przyjaciela chłopów Ujejskiego, a chłop to i tym podobne utwory czytał, rozumiał i rósł.

Gdy nadszedł rok 1894, ten chłop, ten sfinks twardy, milczący, dał znak życia i tu Lwów był świadkiem jego drgnienia. Chłop chciał widzieć tego pana Kościuszkę, o którym p. Wysłouchowa tak pięknie pisała i pośpieszył na panoramę racławicką. I prosił ś. p. Maryę, aby szła z nim i objaśniła mu tę rzecz wspaniałą. I poszła na czele rzeszy chłopów i ich żon, a tak umiała chłopom przemówić do serc, że wiara zapłakała z radości i dotąd tę chwilę mile przypomina.

Mimo tak zbożnej pracy znaleźli się w Galicyi ludzie, którzy nie żałowali temu kochającemu sercu kamieni niesłusznych. I z całą goryczą bolesnego serca powiedziałbym tu o tych ludziach, gdyby to nie było przy trumnie tej Polki zacnej, która całe życie nie żywiła żalu do nikogo i kochała nawet takich ludzi. I taką to mężną niewiastę, Polkę, utraciliśmy i wyprowadzamy na cmentarz. I jeżeli kraj traci cichą pracowniczkę, to lud wiejski traci przyjaciółkę, którą daj Boże, aby umiał kto zastąpić.

Za to złote serce, za tę miłość bezinteresowną, jakąś otaczała lud siermiężny, niech Cię, droga pani Maryo, Bóg nagrodzi żywotem wiekuistym. Proś tam miłego Pana Boga, aby błogosławił naszej biednej Ojczyźnie, aby nam dał dużo serc, podobnych Twojemu i aby Twe życzenia i Twoje prace jak najwcześniej plon przyniosły".

Po mowie posła Bojki wzięli trumnę na ramiona włościanie i posłowie ludowi i zanieśli na sen wieczny do ojczystej mogiły.

Cześć tej zacnej, szlachetnej pracownicy ludowej!

My zaś nasze króciutkie wspomnienie o tej dobrej Polce kończymy życzeniem, aby każde serce polskie, szczególniej włościańskie, żywiło niezagasłą o Niej pamięć i cześć — aby szczególnie młodym pokoleniom stawiało Ją za przykład, jak żyć i pracować należy dla Ojczyzny.

Nadto redakcya prosi, aby te gminy, które mają zamiar zakładać Czytelnie ludowe, nazwały je imieniem ś. p. Maryi Wysłouchowej. Będą to najwłaściwsze, najpiękniejsze i najtrwalsze dla Niej pomniki.

Mieszkanie

jest ważnym warunkiem zdrowia. Jakie powinno być, by ważne swe zadanie spełniło?

Dr. Stanisław Markiewicz w cennej swej książeczce, pod tytułem: „Rady o zachowaniu zdrowia“, nazywa powietrze zepsute pierwszą i główną szkodliwością i krzywdzicielem ludzi. Bo jak słusznie mówi: powietrze zepsute, duszne, cuchnące, jest prawdziwą trucizną dla człowieka. Powietrze zepsute zawsze zdrowiu szkodzi, a szkodzi tem bardziej, im dłużej niem oddychamy. A jakże wiele ludzi i jak często oddycha powietrzem zepsutem, niezdrowem przez całe dni i nocc, tak w mieszkaniu jak i w warsztacie

Spróbujmy wejść ze świeżego powietrza do brudnej cuchnącej nory! Nieprzyzwyczajony do tego, doznaje silnego zawrotu głowy, nudności i mdłości Choć wprawdzie można się do tego przyzwyczaić, mimo to nie należy sądzić, aby czyste i świeże powietrze nie było koniecznym warunkiem zdrowia

Często się zdarza, że jeżeli nam co nie szkodzi o d r a z u, to zdaje nam się, że to dla zdrowia nie jest złem. Umiemy rozróżnić i uważać najczęściej tylko takie przyczyny, które powodują skutek gwałtowny. Np. gdyby ktoś po wyjściu do brudnej, cuchnącej suteremy doznał na miejscu zawrotu głowy lub tym podobnych i gorszych przykrych przypadłości, z pewnością zwróciłby uwagę na przyczynę tego i może postarałby się zapobiedz temu na przyszłość. Gdy jednak skutki oddychania takiem po prostu zatrutem powietrzem nie występują gwałtownie w formie np. nagłej choroby, to po prostu nie dostrzegamy ich, nie zauważamy tego. Tylko po pewnym często długim czasie widzimy, że zamieszkali w takich mieszkaniach ludzie bledną, mizernieją i do wszystkich chorób są skłonni. Ta zmiana dokonuje się powoli z dnia na dzień, nic więc dziwnego, że człowiek jej nie zauważy, zwłaszcza, jeżeli się do takiego życia przyzwyczai.

Nieświadomi i nieuczeni ludzie nie domyślają się nawet przyczyny tego stanu, który jakkolwiek bez wyraźnej choroby, przecież powoli zdrowie ludzkie rujnuje i życie skraca Jakież są przyczyny zepsutego powietrza? Jest ich bardzo wiele; wymienię je tu wszystkie po kolei.

C i a s n o t a mieszkań jest w pierwszym rzędzie przyczyną tego. Jeżeli w jednej izbie dużo ludzi razem mieszka, pracuje i sypia, prawie cały dzień i noc tam spędza, powietrze staje się zaraz duszne i zepsute Dlaczego? Zastanówmy się nad tem, czem człowiek oddycha. Jużci powietrzem. No, skoro więc powietrzem oddycha dużo ludzi w małej izbie, to powietrza tego często braknie. Napływa ono wprawdzie do izby każdą szparą, przy otwieraniu drzwi i okien, przez ściany, zwłaszcza, jeśli są suche, ale napływa go mniej znacznie, niż go ludzie potrzebują. A jeśli w dodatku gospodyni nie wie, że trzeba okna otwierać, albo zapomina o tem? albo jeśli okna wychodzą na mały zamknięty dziedzińczyk, gdzie wszystko śmiecie z całej kamienicy gnije i niemiłym smrodem napełnia powietrze?

Oddychając, pochłaniają ludzie tlen z powietrza, ale prócz wciągania tlenu, my jeszcze zużyte powietrze wydychamy. A to, co wydychamy, co już jako zużyte i niepotrzebne ciało opuści, jest już do oddychania nieprzydatne, niezdrowe, nawet wprost szkodliwe i trujące. Gaz ten, który wydychamy, zatruwa pozostałe powietrze, które nieodświeżane, staje się wprost do oddychania niemożliwem. Gdy w takiej małej izbie ludzie pracują, wtedy pocą się bardzo łatwo. Pot, jaki z ciała ludzkiego ulatnia się w powietrze, przyczynia się w dalszym ciągu do powiększenia zaduchu. A dodajmy do tego brud na bieliznie, odzieży, zabłocone obuwie; to wszystko zepsucie powietrza w najokropniejszy sposób pomnaża.

(C. d. n.)

ODEZWA.

Zawiadamiamy Wszystkich, nie obojętnych na dobro naszej młodzieży, iż za staraniem Maryi Siedleckiej, na mocy statutu, zawiązane zostało Towarzystwo „Opieki nad ubogą młodzieżą szkolną“. Środki do osiągnięcia celu Towarzystwa są: Założenie taniej kuchni hygienicznej i domów, w którychby młodzież uboga znalazła odpowiednie schronisko, opiekę, pomoc naukową, dostarczenie ubrania lub ich naprawienie i odpowiednie rozrywki umysłowe. Istniejące internaty i kuchnie klasztorne nie są w stanie dostarczyć potrzebnej materyalnej pomocy wszystkim uczniom i uczenicom, których wykaz przenosi 2 tysiące dzieci.

Zapraszamy tedy do Towarzystwa Wszystkich, którzy umieją podać dłoń pomocną potrzebującym opieki — do wspólnej pracy nad polepszeniem smutnej doli ubogiej młodzieży, często bezdomnej, która w zaraniu życia, walcząc z brakiem najniezbędniejszych potrzeb, pozbawiona serc, któreby troskliwie nad nią poza szkołą czuwały, zbacza nieraz z drogi obowiązku i pracy. Nędza i opuszczenie, to straszni wychowawcy! Ogromna liczba nieletnich przestępców jest tego wymownym dowodem! Towarzystwo „Opieki nad ubogą młodzieżą szkolną" pragnie współdziałać z istniejącemi już towarzystwami — będzie uważało za swój obowiązek zaopiekowania się t. zw. „stancyami", gdzie włościanie umieszczają swe dzieci — a uzupełniając pracę „Towarzystwa letnich kolonij", które ratuje w złych, niehygienicznych warunkach żyjącą młodzież szkolną, będzie się starało chronić ją przez cały rok szkolny od upadku fizycznego i moralnego.

Wszystkich ludzi dobrej woli, którym leży na sercu przyszłość naszej młodzieży — bo tylko z silnych i wysoko, duchowo stojących jednostek, tworzy się Naród zdobywający swą przyszłość — prosimy o jak najliczniejsze wpisywanie się do Towarzystwa z roczną wkładką 2 Kor. 40 hal. pod adresem: „Towarzystwo opieki nad ubogą młodzieżą szkolną", Szpitalna L. 4, II p.

Dział gospodarczy.

Rozkład pracy domowej i gospodarczej na kwiecień.

Zaraz na początku tego miesiąca zająć się praniem i sprzątaniem domu po zimie, jeżeli się tego w marcu nie zrobiło, ażeby ta robota nie została na ostatni tydzień przed świętami, kiedy to już o pieczeniu pomyśleć trzeba, a trzeba przecież i na nabożeństwa, przypadające na ten tydzień, trochę czasu poświęcić. W kwietniu trzeba już na dobre nasadzać kury, gęsi, kaczki, a przy końcu miesiąca, jeżeli ciepło, to i indyki. W ogrodzie również można już dobrze robić co się w marcu nie pokończyło lub nie zrobiło. Można sadzić groch i bób, a można je sadzić co trzy lub cztery tygodnie, aby mieć całe lato świeże strączki; siać wszystkie warzywa, jakieśmy w marcu wymienili, uważać tylko na położenie słoneczne, grzędy. Można siać kapustę białą, czerwoną, sałatę głowiastą, kalarepę, karafioły, wogóle wszelkie ogrodowizny, należące do rodzaju kapust. Można też siać na rozsadniku pomidory, aby je w czerwcu do gruntu wysadzić, można sadzić cebulę dymkę, ziemniaki w suchym gruncie. Oczyścić cały ogród z chwastów, a chwasty składać w jedno miejsce na kupy kompostowe, aby przegniły, wybranych chwastów nie należy nigdy pozostawiać na grządce lub ścieżce, bo one zakorzeniają się napowrót. Kto truskawek w sierpniu nie przesadził, to niechaj je teraz przesadzi, grzędy w lecie przesadzonych truskawek spulchnić i oczyścić, a jeżeli trzeba, to i ziemi nadsypać. W polu można sadzić ziemniaki, jeżeli ziemia jest dostatecznie sucha i ogrzana. Można też wysiewać pszenicę, jęczmień, konopie, len, koniczynę, grochy, kapustę pastewną, łubin, żyta jare i owsy.

W sadzie niszczyć jabłkowce, nacinać korę wzdłuż pni, zwłaszcza u czereśni, skrapiać drzewa cieczą bordorską lub wystudzonym odwarem tytoniu. Przycinać na dole około drzew pijawki, szczepić drzewka. W piwnicy przeglądać częściej jarzyny i ziemniaki, zgniłe oddalać, wychodzące kieły u ziemniaków niszczyć.

Przysłowia.

Na świętego Franciszka trzęsie ogonkiem pliszka. A przyleciała kosztem tanim, bo na skrzydle bocianim.

Na święty Wojciech żaba już skrzecze, ale jeszcze kożucha nie zdejmuj człowiecze.

Gdy z końcem kwietnia deszcz rosi, błogosławieństwo polom przynosi.

W ogródku kwiatowym popodnosić róże i przywiązywać. Można więc wprost na miejsce przeznaczone rezedę, ostrożki, maki ozdobne, groszki ozdobne, portulaki, nasturcyę, powoje, firletkę, żeniszek, orlik i t p. Zaś na rozsadniku astry, lewkonie, balzaminy, lwie paszcze, jastrun, dzierotkę dzienną.

Jak przechować nawóz zwierzęcy na gnojowni. Jak to już mowiliśmy, najlepiej jest nawóz zwierzęcy przetrzymywać pod zwierzętami. Więc kto tylko może, niech cały inwentarz trzyma przez cały rok w stajni; do św. Jana są: ziemniaki, rzepa i buraki siekane i z sieczką mięszane bardzo dobrą paszą, a po św. Janie przychodzi już w pomoc lucerna, koniczyna i wyka na zielono, a nareszcie w jesieni kukurydza.

Jeżeli to jest niemożebnem i stajnia jest za niska, aby nawóz mógł w niej być urabiany, w takim razie trzeba nawóz przechować na gnojowni. Pod końmi wymaga tego chędogość i względy sanitarne, aby mierzwa była częściej wyrzucaną, ale nie na dwór bez ładu lub w gnojówkę. Jeżeli się mierzwę wyrzuca bez ładu, deszcz ją wypłucze, powietrze wyciągnie i taka mierzwa wielce skutkować nie może. Również marnuje się mierzwa, jeżeli się ją w gnojówkę wyrzuca, a co u nas bardzo często prawie wszędzie napotkać można. Chcąc więc, aby mierzwa odpowiadała swemu przeznaczeniu, trzeba koniecznie urządzić odpowiednią na to gnojownię, gdzieby można mierzwę końską z bydlęcą mięszać, przekładać ziemią i gnojówką polewać.

Przy zakładaniu gnojowni trzeba pamiętać o tem:

1) Aby gnojownia była ile możności w środku pomiędzy stajnią końską a krowiarnią tak, aby i końska i bydlęca mierzwa mogła być razem mięszana i układana.

2) Aby gnojownia była ile możności od strony północnej, by jak najmniej dochodziło do niej słońce, jest to rzecz bardzo ważna dla dobrego i korzystnego zabezpieczenia od strat i szkodliwych wpływów. Jeżeli nie można już inaczej, to obsadzić drzewami, które choć z czasem dostarczą nawozowi potrzebnego ocienienia przed promieniami słonecznemi, które pobudzają zagrzanie się mierzwy, a przez co podnosi się w niej proces rozkładowy ze stratą składników nawozowych i skutkiem czego traci nawóz tak na wadze jak i na objętości. W braku drzew zabezpieczyć gnojownię dachem, a jeżeli i to niemożliwe, to przynajmniej każdą udeptaną warstwę gnoju nakryć odrazu przysposobioną zawczasu na ten cel suchą ziemią lub miałem torfowym.

3) Aby prócz deszczu żadna inna woda z podwórza lub dachu do gnojowni nie ściekała.

4) Aby w gnojownię wozem wjechać i z niej wyjechać można było.

5) Aby gnojownia nie miała więcej nad 1—1½ metra głębokości, w przeciwnym razie zbierałoby się spodem za wiele gnojówki.

6) Nieodzownym warunkiem dobrej gnojowni w większem gospodarstwie jest odpowiedni spadek jej dna urządzony tak, aby zbytnia gnojówka ściekała i zbierała się w jedno miejsce. Należy więc w jednym boku gnojowni urządzić odpowiedni zbiornik, a raczej studnię, z której zapomocą pompy i rynny rozprowadziłby można gnojówkę po całej gnojowni. Zlewanie mierzwy gnojówką należy powtarzać często i rozlewać równo po całej gnojowni. Równy bowiem stopień wilgoci w mierzwie wstrzymuje zbytni przystęp powietrza. Aby jednak możliwem było rozprowadzić gnojówkę równo po całej gnojowni trzeba, aby wynoszona na nią codziennie mierzwa była odrazu równo rozrzucona i udeptana. Udeptywać można mierzwę bydłem, puszczając je codziennie na chwilę, można udeptywać wołami, kto ma; najlepszem i najkorzystniejszem jest utłaczanie nawozu żelaznym walcem pierścieniowym bez dyszla. Otrzymuje się przez to nie tylko dobrze i gładko utłoczony nawóz, ale i lepsze wymięszanie kału ze słomą.

Zabezpieczając nawóz w ten sposób, można go utrzymać bez używania jakichkolwiek środków konserwujących przez 2—3 miesięcy bez znaczniejszego uszczerbku na wadze i sile składników nawozowych. Jeżeliby jednak mierzwa musiała dłużej niż 2—3 miesięcy leżeć na gnojowni, w takim razie oprócz wyżej wskazywanego przykrywania jej ziemią i próchnem torfowem, należy mierzwę posypać sztucznemi środkami, zachowującymi główne składniki nawozowe. Są to gips, superfosfat i kainit. Gdzie ziemie lekkie, tam trzeba mierzwę przesypywać kainitem, a ziemia lekka, uboga zazwyczaj w potas, otrzyma znaczne zasilenie potasowe takie, jakiego sam obornik, chociażby najlepszy, dać nie może. Zaś na ziemie zwięzłe lepiej jest używać do przesypywania mierzwy gipssuperfosfatu. Tych środków konserwujących używa się w stosunku na każde 500 kg. żywej wagi zwierzęcia gips superfosfatu od ½—1 kg., a i kainitu również ½—1 kg.

Można sobie zresztą zupełnie według upodobania założyć gnojownie, byle tylko wyżej wymienione warunki uwzględnione były. Gdzie glina tęga, tam nie potrzeba dylami lub kamieniami wykładać gnojowni; zazwyczaj jednak brukuje się gnojownię kamieniami.

Naokoło gnojowni powinno być małe wywyższenie, któreby ściek wody z podwórza do gnojowni wstrzymywało. Ściek wody z podwórza powinien być wszystek w jedno miejsce sprowadzony; najodpowiedniejszym do tego jest dół wymurowany w najniższem miejscu podwórza, dokąd w razie deszczu wszystkie nieczystości z podwórza spływają i gnojówkę tworzą. Niech nikt nie żałuje kosztów na wymurowanie dołu do gnojówki. W każdem ulepszonem gospodarstwie jest gnojówka koniecznie potrzebną. Trzeba bowiem zapas gnojówki do polewania gromad kompostowych, i jak to już wyżej powiedzieliśmy, do polewania mierzwy, a kto ma taki dół, obejdzie się bez pompy.

L. H.

Wieści ze świata.

Bitwa pod Mukdenem.

Jedna z największych walk w obecnej wojnie, była bitwa stoczona pod Mugdenem.

Trwała ona przez kilka dni i prawdopodobnie stała się ostateczną klęską Rosyan.

Walczyło przeciw sobie po obydwóch stronach do miliona ludzi, ale żołnierz japoński nie tylko że dobrze wyćwiczony, ale odważny i patryotyczny, parł Rosyan ciągle, nie dając im odpocząć, ani się pożywić. Nic też dziwnego, że wojsko rosyjskie zmęczone ciągłym marszem w popłochu, wygłodniałe, zniechęcone, całemi kompaniami rzucało broń i poddawało się Japończykom

Ucieczka wojsk rosyjskich z Mukdenu rozpoczęła się w nocy dnia 10 marca i trwała bez przerwy przez dwa dni, wśród największego zamieszania i nieporządku. Wśród ciemności i ogromnego kurzu, tak, że ani drogi widzieć przed sobą nie mogli, uciekali do Tielina, ścigani i ostrzeliwani przez Japończyków, którzy chcieli obsaczyć Kuropatkina. Nie udało się im jednakże, bo Kuropatkin polnemi drogami przez góry, zdołał im umknąć; a niewygrawszy ani jednej większej bitwy, dzielność swą przynajmniej w ucieczce okazał.

W Mukdenie.

Jenerał Oku wraz z swoim sztabem weszli do Mukdenu, gdzie zastali tylko 800 rannych rosyjskich i 300 rannych Japończyków. W chwili rozpoczęcia odwrotu Rosyan, Chińczycy podpalili szpitale i inne gmachy. Kilku tragarzy i robotników rzuciło się plądrować magazyny rosyjsko-chińskiego banku. Czego nie zabrali Rosyanie, to padło ofiarą rabunku. Japończycy, którzy wchodzili do Mukdenu prawie równocześnie, gdy Rosyanie opuszczali miasto, schwytali wielu rabusiów i niezwłocznie ich powiesili.

Straty rosyjskie.

Według sprawozdania marszałka Oyamy, Rosyanie zostawili na placu 26.500 zabitych. Japończycy zdobyli dwa sztandary, około 60 armat, 60.000 karabinów, 200.000 nabojów armatnich., 150 jaszczyków, 1000 wagonów, 250,000.000 nabojów karabinowych, 15.000 kok zboża, 55.000 kok paszy, 45 mil szyn kolejowych, 2.000 koni, 23 wozów z mapami, 1.000 wozów z odzieniem, 1,000.000 bochenków chleba, 70.000 ton materyału polnego, 60.000 ton siana i wielką ilość bydła, namiotów.

Straty japońskie.

Armia jenerała Oku poniosła największe straty w armii japońskiej; wynoszą one 15 tysięcy ludzi.

Wogóle japońskie straty pod Mukdenem w zabitych i rannych ocenia marszałek Oyama na 41 tysięcy.

Przyczyny klęski.

Z Petersburga piszą, iż przyczyną klęski rosyjskiej pod Mukdenem było przedewszystkiem złe urządzenie służby wywiadowczej, a także nieudolność wielu rosyjskich oficerów wyższych stopni. Wydanym został rozkaz w walkach pod Daszicao, obsadzenia pewnej miejscowości, a tymczasem miejscowość ta była już dawno zajęta przez Japończyków, o czem w rosyjskim obozie nie wiedziano. Także zarozumiałość Kuropatkina we własne zdolności dużo się do klęski przyczyniła.

Odwołanie Kuropatkina.

Naczelny wódz rosyjski w Mandżuryi, Kuropatkin, prosił cara telegraficznie o uwolnienie go ze stanowiska, jakie dotąd zajmował, gdyż czuje się umysłowo i fizycznie bardzo zmęczony. Car uwzględniając prośbę jego, tymczasowe dowództwo nad armią polecił generałowi Liniewiczowi, które później ma objąć jeden z wielkich książąt. Jenerał Liniewicz jest Polakiem; w wojnie turecko-rosyjskiej wyszczególnił się swemi zdolnościami. Między kolegami ma wiele sympatyi; żołnierze przepadają za nim i z wielką radością powitali go jako wodza, ale dlatego, że jest Polakiem, przez władze wyższe nie jest lubianym.

Nowa wielka bitwa.

Berliński korespondent donosi z Petersburga, że krąży tam pogłoska, jakoby po ustąpieniu Rosyan z Tielinu, na zachód od tej miejscowości stoczoną została wielka bitwa, w której Rosyanie stracić znów mieli 10.000 ludzi i 80 armat.

Obchód zwycięstwa w Tokio.

Patryotyczny naród japoński, każde zwycięstwo nad Rosyanami uroczyście obchodzi. Ostatnie zwycięstwo pod Mukdenem obchodzono również uroczyście. Całe miasto było przystrojone i oświetlone rzęsiście. Tłumy ludu zapełniły ulice i place, śpiewano pieśni narodowe i wnoszono okrzyki zwycięstwa.

Cesarz japoński kazał przygotować mieszkania w kilku miastach dla 26.000 Rosyan, wziętych do niewoli pod Mukdenem.

Rada wojenna.

W Carskiem Siole odbyła się rada wojenna pod przewodnictwem cara. Większość

uradziła dalsze energiczne prowadzenie wojny. Ma być dokonaną nowa mobilizacya pół miliona ludzi. Minister Bułygin oświadczył, że nie ręczy za spokój wewnętrzny, jeżeli mobilizacya teraz będzie przeprowadzoną, gdyż umysły ludności nie są jeszcze uspokojone i wybuchy rewolucyjne trwają ciągle w różnych miejscowościach.

Mobilizacya najprzód ma się odbyć w Warszawie i Kijowie; można się spodziewać nowych zaburzeń, nowego krwi rozlewu.

Słychać, iż car ma ogłosić nowy manifest, z prośbą do narodu rosyjskiego, aby się skupił koło tronu. W manifeście tym ma być równocześnie ogłoszona konstytucya. Car ufny w niewyczerpane środki pieniężne, odwagę i patryotyzm narodu rosyjskiego, pomimo ogromnych klęsk, jakie w ostatnich czasach poniósł pod Mukdenem, chce dalej prowadzić wojnę.

Z Królestwa Polskiego.

Donoszą z Warszawy i innych miast Królestwa i Litwy, że po wsiach krążą całe bandy ludzi złej woli, podburzając lud wiejski do bezrobocia. Skutek z tego bywa zwykle najgorszy, bo sprowadzane z miast władze wojskowe przywracają porządek, przyczem nigdy się nie obejdzie bez strzałów i ofiar w ludziach.

W niektórych miejscowościach pojawiają się wprost bandy opryszków. W Ogrodzieńcu koło Zawiercia, do właściciela fabryki wpadło 20 zamaskowanych drabów ze sztabami żelaznemi w ręku. Fabrykantowi zdruzgotano rękę, a żonę jego zmuszono, że wydała srebra i wszystkie swoje klejnoty. W Ząbkowicach również napadli nieznani złoczyńcy dyrektora warsztatów elektrycznych, zabrali mu wszystką gotówkę i srebra, a dyrektora, żonę jego i służbę poranili.

ROZMAITOŚCI.

Zamach w Warszawie. Dzienniki donoszą, iż na ulicy Wolskiej, kiedy patrol przechodziła, rzucono bombę. Czterej żołnierze, dwaj policyanci i jeden żandarm zostali ciężko ranni, a kilka przechodzących osób lekko ranni. Sprawcy umknęli.

Głód w armii rosyjskiej. Z Charbina donoszą, że panuje tam głód. Dowóz żywności z Rosyi i Syberyi nie wystarcza do zaspokojenia potrzeb armii, która w odwrocie straciła wszystkie swoje zapasy żywności. Na granicy Mandżuryi pojawiły się silne oddziały Chunchuzów, dowodzone przez Japończyków, które uniemożliwiają dowóz żywności, a nadto zagrażają linii kolejowej.

Wjazd tryumfalny. Z Londynu donoszą, że marszałek Oyama odbył prawdziwy wjazd tryumfalny do Mugdenu. Ludność chińska witała go owacyjnie, miasto przystrojone było lampionami. Oyama udał się do domu, gdzie mieszkał Kuropatkin. Znalazł tam mnóstwo kosztownie oprawnych obrazów świętych. Marszałek Oyama odesłał je jako trofea wojenne do Tokio.

Sceny z odwrotu. Pewien handlarz norwegski, który towarzyszył armii rosyjskiej z Mukdenu, opowiada, iż żołnierze, ażeby sobie ulżyć w ucieczce, zrzucali z siebie nie tylko pakunki, ale nawet płaszcze i buty. W Tielinie, gdy już mieli miasto opuszczać, kozacy rzucili się do rabowania sklepów, a co nie mogli zabrać z sobą, to palili. Ale na nic im się to nie przydało, bo w kwadrans później, wszyscy ci kozacy zginęli od kul nadchodzących Japończyków.

Wędrująca góra. Koło Nicei znajduje się wieś Lasagnes, nad którą wznosi się góra, mająca 500 metrów długości, a 300 metr. szerokości. Jak donoszą z Nicei, góra ta od pewnego czasu stacza się ku wsi Lasagnes, którą wkrótce przygniecie. Mieszkańcy po kolei opuszczają swoje domy, wiedząc, że katastrofa jest nieuniknioną i powstrzymać jej w żaden sposób nie można.

Tragiczny koniec wyprawy podbiegunowej. Jak donoszą z Petersburga, wszyscy członkowie wyprawy w celach badania naukowego, która pod przewodnictwem hr. Tolla udała się do syberyjskich wysp pod biegunem północnym, zginęli śmiercią głodową. Stwierdza to wyprawa ratunkowa, która w r. 1903 wyruszyła na poszukiwania za Tollem i jego towarzyszami.

Śmiertelna walka. Z Saloniki donoszą, iż przed kilku dniami w miejscowości Smol, koło linii kolei żelaznej, zabito uczestników bandy bułgarskiej, złożonej z 42 ludzi, a zostającej pod dowództwem Apostoła i Leonidasa. Przy zabitych znaleziono dokumenty, broń i amunicyę. Ze strony wojska tureckiego padło 8 ludzi. Już trzeci raz zniesiono zupełnie bandę bułharską.

Sól dla bydła. Komunikat Ministerstwa skarbu donosi, że stosownie do podniesionych życzeń, Ministerstwo skarbu zniżyło o 1 koronę na 100 klg. cenę soli bydlęcej, cenę kamieni do lizania o ciężarze 5 klg. przy ustawowej cenie soli bydlęcej na 6 koron za 100 klg. i dodatku 2 korony za wyciskanie. Dodatek za kamień do lizania dla bydła wynosi więc tylko 5 halerzy.

Drzewka owocowe subwencyonowane. Zarząd główny Towarzystwa Kółek rolniczych, jak lat poprzednich, tak też i w bieżącym pośredniczyć będzie w zakupnie drzewek owocowych do sadzenia wiosen-

nego, udzielając członkom Kółek roln. odpowiedniej zapomogi. Zgłoszenia na subwencyonowane drzewka owocowe można już obecnie nadsyłać. Każde zamówienie musi być opatrzone podpisami przewodniczącego, jak również stampilą Kółka roln. Dalej w zamówieniu należy dokładnie opisać glebę, podglebie i podłoże, klimat i położenie, oraz podać ogólną ilość drzewek. Dobór odmian przysługuje Zarządowi głównemu. Ceny drzewek, nie licząc subwencyi, są następujące: dla zachodniej części kraju: jabłonie 72 hal., grusze 90 hal, śliwy 90 hal., czereśnie i wiśnie 85 hal. Subwencya wynosi 15 do 20 proc. opustu od ceny rzeczywistej. Przy zamawianiu należy nadsyłać zadatek a mianowicie: 20 hal. na każde drzewko. Drzewka, przez Zarząd główny zakupione, będą miały jednoroczne korony, a więc będą to drzewka 4 do 5 letnie.

Placek z zaciereczką. Zrobić ciasto jak poprzednio i nałożyć go dość grubo zaciereczką, jak następuje: $^1/_8$ klg. masła i $^1/_4$ klg. cukru i tyle mąki, za 4 halerze cynamonu tłuczonego, to wszystko razem dobrze wymięszać, tak, aby się utworzyły grudki z cukru i mąki, tym nakłada się podrośnięte ciasto, posypuje się drobno krajanymi migdałami, drobno krajaną cykatą (lub co jest tańsze, bo za 20 hal. wystarczy na jeden placek, skórki pomarańczowe smażone, drobno krajane), można figi pokrajać, następnie rodzynków drobnych za 10 hal. i tym wszystkim posypać placek. A więc najpierw na ciasto daje się zaciereczkę, a potem dopiero te wszystkie inne drobiazgi.

Przekładaniec. Robi się spód placka z takiego lub innego ciasta, jak to już na godne święta pisałyśmy. Następnie nakłada się na to ciasto dosyć grubo rodzynki, krajane migdały, smażone skórki pomarańczowe pokrajane, figi pokrajane, daktyle i t. p. Następnie znowu na pół palca grubo ciasta i znowu te drobiazgi i znowu ciasto i to można powtarzać tak długo, jak wysoką mamy blachę. Ciasto musi być ostatnie, potem wstawiamy go w piec i trzymamy trochę dłużej niż zwykły placek.

Bułeczki na mleku. Mąki pszennej $^1/_4$ klg., 6—8 deka drożdży rozczynić w mleku i postawić, niech rośnie. Gdy już drożdże podejdą, wlać je do miski, w której mamy 2 klg. mąki, dodać 2—3 całe jaja, 10 deka masła, trochę soli, $^1/_4$ litra ciepłego mleka, można dać trochę cukru i wyrabiać tak długo, aż od rąk odstanie, jeżeliby za tęgie było, to trzeba dolać trochę mleka. Odstawić, aby podrosło, następnie wyrabiać podługowate bułeczki, a gdy podrosną, dać do gorącego pieca na godzinę.

Sos tatarski do szynki zamiast chrzanu. Ugotować na twardo 6 jaj całych, wyjąć żółtka, utrzyć na tarku, a białka drobno posiekać, utarte żółtka rozetrzeć na masę z oliwą i dodać ze trzy łyżki musztardy i parę kropli dobrego octu, to wymięszać tak, aby sos był gęsty.

Jaką farbą farbować można suknie? Jasne suknie farbują się bardzo ładnie w tak zwanej farbie Herkulesowej; można je dostać we wszystkich prawie kolorach: czarny, granat, brązowy i t. p. Farby tej są dwa gatunki, a jeden i drugi jest bardzo dobry. Pierwszy da się zastosować do sukien całych niepoprutych, należy tylko poprzednio z przeznaczonej do farbowania sztuki wywabić wszelkie tłuste plamy, następnie rozpuszcza się w $^1/_2$ litrze wody kipiącej farbę i daje się jej kilka minut zagotować, potem macza się w tej farbie szczotkę i naciera materyę, czy całą suknię miejsce koło miejsca jak najstaranniej. Gdy już cała suknia jest ufarbowaną, wiesza się, aby wyschła; zaś po wyschnięciu trzeba znowu dobrze suchą szczotką wyczyścić z wierzchniej farby. Jeden pakiecik tej farby kosztuje 30 hal., zaś na jedną całą suknię potrzeba 4—5 takich pakiecików.

Drugi gatunek tej farby jest, powiedziałabym nawet lepszy i pewniejszy, ale mające się farbować suknie muszą być całkiem poprute. Tę farbę sypie się do 8 litrów kipiącej wody i gotuje się ją przez 10 minut. Mającą się farbować materyę należy oczyścić z tłustych plam, następnie umaczać w czystej letniej wodzie, ale potem wykręcić i nie mokrą, ale wilgotną materyę wkłada się do kipiącej farby i gotuje $^1/_2$ godziny, przeciągając ciągle, aby się równo farbowała. Potem odstawia się, aby wychłudło i wyżyma się. (Tu jest prócz farby jeszcze i bajca). Rozpuszcza się więc następnie tę bajcę w 8 litrach gotującej się wody i przeciąga się materyą ufarbowaną przez kwadrans w gorącej, a nie zupełnie się gotującej bajcy. Potem wkłada się wybajcowaną materyę jeszcze raz w zagrzaną farbę i przeciąga w niej przy słabem gotowaniu 15 minut, następnie płucze się silnie w czystej wodzie i suszy. Gdy już materya jest na wpół sucha, dobrze jest, jeżeli się ją do suchego wymagluje, natenczas dostaje lekkiego połysku i wygląda jak nowa. Kolor jest tak stały, że suknie można następnie prać a koloru nie zmieni.

Pakiecik tej farby kosztuje również 30 hal. i wystarcza na 375 do 500 gramów; lepiej ale jest wziąść 3 lub 4 pakieciki odrazu, aniżeli być w kłopocie niemożności ufarbowania całej sukni naraz.

Brazylina farbuje nie źle suknie czarne, które przez noszenie utraciły kolor. $^1/_2$ kilo trzasek brazylinowych zagotować w kilku litrach wody i w tym odwarze uprać suknie. Jasnych sukien farbować w brazylinie nie radzę, bo ładne nie będą.

Farbowanie pisanek. Do farbowania pisanek są w sklepach różne farby, ale można i w domu tańszym kosztem ładnie ufarbować i tak, n. p. jaja gotowane we fusach z kawy będą blado-brązowe z ciemniejszymi kropkami, zaś gotowane w listkach młodego żyta, będą ładnie zielone, jeżeli zaś kupimy za 4 halerze brezylii i zagotujemy, następnie włożymy w nią

jaja i jeszcze raz zagotujemy, to jaja będą czarne, a jeżeli do brezylii damy za 2 halerze ałunu, to otrzymamy jaja ciemno fioletowe.

Bardzo ładne jaja można mieć, jeżeli się je gotuje w łupinach cebuli. Bierze się łupinki różnych cebul, jakie tylko mamy i owija się niemi jajko, naokoło przywijając nitką, ale tak, aby nitka nie przyszła wprost na jajko, tylko na łupinę cebuli, owija się tak dosyć grubo i dobrze nitkę zaciąga. Następnie kładzie się je do garnka, nalewa zimną wodą i zostawia tak przynajmniej dwanaście godzin, a potem gotuje się je w tej samej wodzie. Wszelkie farbowane jaja należy po wyjęciu z farby potrzeć lekko kawałkiem sukna, zwilżonego oliwą lub jakim innym tłuszczem, a następnie wytrzeć drugim kawałkiem sukna, lub jakim gałgankiem do suchego.

Babka tania a dobra. Wziąść $1/2$ klg. mąki, 12 deka cukru, $3\,1/2$ deka drożdży, rozpuszczonych w ciepłem mleku, skórkę z pół cytryny otrzeć o kawałek cukru, cukier utłuc i dodać do ciasta, 4—6 żółtek ubić z cukrem i zarobić ciasto, na ostatku dodać pianę z pozostałych białek, wszystko razem dobrze wyrobić, a gdy pokazują się pęcherzyki na cieście, dać do formy, a gdy wyrośnie, wstawić do pieca. Ciasto powinno być wolne, jak zwykle na babki, jeżeli jest twarde, rozpuścić mlekiem ciepłem.

Placek z powidłami. Wziąść $1/4$ klg. mąki, 6 deka drożdży i trochę letniego mleka. Dalej bierze się 1 klg. mąki 6 lub 9 całych jaj, 12 deka cukru, odrobinę soli, skórkę z cytryny, $1/8$ klg. rozpuszczonego masła i tyle mleka, aby ciasto nie było zbyt wolne. Następnie daje się na blachę poprószoną mąką, ciasto nakłada się cienko, a gdy podrośnie, nakłada się grubo powidłem śliwkowem przyprawionem następującym sposobem. $1/4$ klg. powideł, $1/3$ klg. cukru, odrobinę cynamonu, dwa tłuczone goździki, odrobinę tartej bułki, wymieszać dobrze i nakładać na ciasto.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Czy lepiej jest nawóz zaraz po rozrzuceniu przyorać, czy też zostawić go dłuższy czas nie przyorany. Poniekąd stwierdzono doświadczeniami, że im dłużej leży gnój na roli, tem szybciej działa. Skruszawszy pod wpływem powietrza, szybciej przechodzi w stan rozpuszczalny, w której to postaci dopiero roślinom służyć może za pokarm. Najlepsze skutki tego spostrzedz można na jarzynach, których rośnięcie jest krótsze niż oziminy. Jare rośliny potrzebują natychmiastowego pożywienia, aby nie doznały zastoju we wzroście. Nie powinno się więc przyorywać świeżo rozrzuconego nawozu, a już przynajmniej nie na mocnej zwięzłej ziemi. Ziemia taka, jeżeli nie jest wtedy wprost mokra, to przynajmniej wilgotna, przyorywując zaś mierzwę ziemią wilgotną, to jest ona przynajmniej na pół straconą. Mierzwa powinna koniecznie przeschnąć cokolwiek, a wtedy lepiej się przyoruje i szybciej rozkłada. Więc jeżeli tylko jest możebnem, to najlepiej jest, jeżeli nawóz rozrzucony na polu poleży przynajmniej kilka lub kilkanaście dni. Różne badania nawozu wykazały, że przemiana amoniaku w saletrę odbywa się nie tylko przy pomocy tlenu powietrza, ale także pewnych żyjątek (bakteryj). Te mieszczą się masami w oborniku, pożerają wytwarzający się kwas saletrzany, z uszczerbkiem dla skuteczności nawozu. Bakterye te żyją przeważnie niektóremi związkami węgla, których nie brak tak w oborniku, jak i w ziemi i dlatego to wywieziony i zaraz przyorany obornik, nie tylko nie pozbywa się tych bakteryj, ale owszem, znajdując tam dla siebie odpowiednie warunki, szerzą one swe spustoszenie dalej. Bardzo więc ważną rzeczą jest, aby odjąć tym szkodnikom warunki do życia, o co nie trudno, należą one bowiem do tak zwanych aneorobów t. j. do rodzaju tworów, które powietrze zabija. A zatem wywożąc wcześnie mierzwę, rozrzucając ją dokładnie i pozostawiając ją, przez pewien czas nie przyoraną, osięga się, że nie tylko przemiana amoniaku w saletrę odbywa się zwolna na powietrzu, ale i to, że i te bakterye marnieją zupełnie. Można to najlepiej wytłómaczyć tem, że zboże zawsze lepsze bywa na tem miejscu, gdzie mierzwa jakiś czas leżała rozrzuconą, aniżeli tam, gdzie ją zaraz po wyniesieniu przyorano.

Jeżeli jednak za długo pozostawimy obornik rozrzucony a nieprzyorany, wtedy rzeczywiście mogą być pewne straty w amoniaku; najwięcej w czasie bardzo suchym i przy większych wiatrach. Ale za to czas wilgotny, przekropny, lub mglisty, sprzyja bardzo rozrzuconemu obornikowi. Najmniejszy deszczyk, czy też mgła, lub rosa nocna spłukuje łatwo rozpuszczalne związki azotowe obornika i wmywa je w ziemię, na wierzchu roli pozostaje zaś tylko słoma, złączona ze słabszemi częściami kału, wytwarzającemi w ziemi próchnicę.

Gołębie Pawiaki i inne gatunki można dostać za pośrednictwem Zarządu Głównego Kółek rolniczych we Lwowie, jak również jaja „Czarnej Minorki".

Proszę Szanownych Czytelników do Zarządu tego napisać, to prześlą żądane wiadomości.

Nr. I *Przodownicy* z r. b. zupełnie wyczerpany.

Reklamacyj nie opłacać. Przypominamy a prosimy o nadsyłanie zaległej prenumeraty i jednanie nowych Czytelników. Kto w kwietniu należnej prenumeraty nie odośle, w maju nie otrzyma *Przodownicy.*

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

ŚWIĘTA KINGA

Powieść historyczna z XIII-go wieku.

Napisała

Mieczysława Śleczkowska.

(Ciąg dalszy).

Jeden z Tatarów, odwiązawszy trok, wiszący mu przy boku, związał ręce i nogi parobczaka. Skrępowanego rzucono jak barana na wózek. Staszek śród tego czepiał się rozpaczliwie rąk i nóg brata, lecz dzicy napastnicy oderwali przelękłe dziecię, od rzucającego się bezsilnie Józka, a związawszy mu ręce i nogi, oćwiczywszy nielitościwie nahajkami, rzucili na wózek. Nieszczęśliwe dziecko szlochało w głos, podczas gdy Józek klął na czem świat stoi. Po skrępowaniu naszych znajomych, jeden z Tatarów siadł na wózku, wziął lice do rąk i zaciąwszy przestraszone konie, ruszył dalej.

Wózek otoczyli Tatarzy z okrzykiem i śmiechem, iście szatańskim.

Wkrótce przywieziono jeńców do okiem nieprzejrzanego obozu tatarskiego. W pośrodku obozu znajdowali się jeńcy zabrani do niewoli. Słychać tu było jęki, szlochania i głośny płacz.

Józka i Stacha wyrzucono z wozu na ziemię, jak gdyby worki lub snopy, przeszukano dokładnie ich wózek, poczem dwóch Tatarów przyprowadziło jeńca Rusina, który z polecenia pogan, rozpytywał Józka, skąd i dokąd jechał. Odpowiedzi parobczaka Rusin tłómaczył na język tatarski.

Przez tłómacza dowiedzieli się Tatarzy, że Józek jechał do Krakowa. Wiadomość ta ocaliła życie Józkowi. Tatarzy bowiem ciągnęli teraz na Kraków, potrzebowali przewodnika po nieznanym im kraju. Takiego poniewolnego przewodnika zrobili sobie z Józka. Gdyby nie to, że chłopak był im potrzebny, byliby go niechybnie zamordowali.

Jakkolwiek Józkowi nie groziła w tej chwili śmierć, to spotkał go cios boleśniejszy od śmierci.

Rozwiązano mu nogi i popędzono w głąb obozu. Daremnie Józek błagał, aby go nie rozdzielano ze Stachem, daremnie szamotał się rozpaczliwie, okryty gradem nahajek, musiał odejść. Długo przecież słyszał rozpaczliwe łkanie Stacha.

Biedne dziecko pochwycił Tatar i rzucił je na wóz, na którym leżało kilkoro zapłakanych dzieci i kilka niewiast. Wszyscy byli trokami tatarskimi skrępowani. Stach łkał głośno, żałośnie, wołając:

— Józek! Józek!

Gdy jednak wołany brat nie nadchodził, przestał nań wołać, natomiast krzyczał:

— Miłościwa księżno, ratuj! Zlituj się, zlituj królewno Jolanto!

Wyrazy owe powtarzane nieustannie, zwróciły uwagę siedzącej na wozie kobiety. Cicho rzekła do dziecka.

— Czy to ciebie nie nauczono, że w każdej potrzebie należy wzywać pomocy Boskiej, a nie ludzkiej. Nasza księżna, cnotliwa pani, miłosierna, nic ci przecie w tej chwili nie pomoże. Z tego piekła, do którego wtrąciły nas ręce pogańskie, wybawić nas może jeno Bóg i Matka Najświętsza, do nich też trzeba zanieść prośbę błagalną. Naszej księżnej grozi także niebezpieczeństwo od nawały tatarskiej, to też i za nią modlić się trzeba, a nie wzywać daremnie jej pomocy.

Stach, słuchając kobiety, przestał krzyczeć, przestał płakać, tylko od czasu do czasu wydobywały się z piersi jego łkania. Uspokoiwszy się nieco, przysłuchiwał się rozmowie jeńców, których tu było mnóstwo.

Z rozmowy tych nieszczęśliwych dowiedział się Stach, że Tatarzy pod wodzą Batu-Chana, wtargnęli do Polski w niezmiernej liczbie. Dzicz ta, niby wielkie zbiorowisko wody, zalała Małopolskę. Na wieść o Tatarach, Bolesław Wstydliwy, ca czele rycerstwa pospieszył naprzeciw poganom. Pod Opolem stoczono niepomyślną bitwę. Krajowe rycerstwo nie potrafiło obronić zagrożonej Ojczyzny. Dzicz tatarska, posuwająca się naprzód, paliła, rabowała wsie i miasta i mordowała bezbronną ludność.

Z Lublina, Zawichostu, Sandomierza i Skarbimierza, już tylko pozostały zgliszcza.

Dzicz tatarska nie zna miłosierdzia. Ich najwyższy wódz i król Batu-Chan twierdzi, że miłosierdzie jest przymiotem słabych. Oni zaś mocni, wielmożni, uważają siebie za panów świata, to też malutkie w porównaniu z posiadłościami tatarskiemi kraiki w Europie i liczne narody w tych małych kraikach, wydają się, dumnym zwycięstwami Tatarom, pluga-

stwem nikczemnem, które bezlitośnie wytępić należy, aby opanować świat cały.

V.

Po bitwie pod Turskiem.

Obóz tatarski, do którego zabrano naszych znajomych, rozłożony był w pobliżu wsi zwanej Turskiem. Tutaj postanowili Tatarzy wypocząć. Zmęczyli się bowiem szybkim pochodem, mordem i rabunkiem. Naraz odpoczynek ów przerwało im rycerstwo krakowskie i sandomierskie, prowadzone przez wojewodów i kasztelanów.

Tatarzy poczęli się szykować do bitwy, Nieprzeliczone tłumy Tatarów wysunęły się naprzód, jeńcy zaś otoczeni strażą pozostali z tyłu. Nie widzieli też krwawego boju, toczonego przez polskie rycerstwo z poganami. Słyszeli jeno dzikie okrzyki Tatarów, szczęk oręża i zgiełk nie do opisania. Naraz zgiełk bojowy stał się większym jeszcze. Tatarzy zamiast okrzyków zwycięskich, wydają okrzyk trwogi i poczynają uciekać bezładnie.

Straże opuszczają jeńców i umykają w popłochu za swoimi.

Wkrótce dzicz tatarska uszła z pola bitwy, pozostali jedynie pomordowani, a była ich liczba niemała. Jeńcy niedawno otoczeni strażą tatarską, spostrzegają nadciągające polskie rycerstwo, które z pośpiechem zbliża się do wozów, aby poprzecinać powrozy krępujące ręce i nogi pojmanych. Uwolnieni od Tatarów i więzów, jeńcy wpadają w szał radości, całują ręce i nogi swoich wybawców.

Oto i Józek jest teraz wolny, biega od wozu do wozu, szukając Stacha, naraz spostrzega go śpiącego.

Biedne dziecko. zmęczone i przerażone, usnęło w końcu i spało twardo śród zgiełku i wrzawy wojennej. Józek uradowany z odzyskania brata, przecina krzywym tatarskim pałaszem, który znalazł na drodze, powrozy na rękach i nogach Stacha. Dzieciak roztworzył rozespane oczy, a ujrzawszy twarz brata, wydał okrzyk radosny, chwycił Józka za ręce, oglądając się trwożnie, czy Tatarzy nie rozłączą ich znowu.

Jeńcy uradowani oswobodzeniem, zapomnieli o niebezpieczeństwie. Tatarzy umknęli z pola walki, ponieśli wprawdzie dotkliwą stratę, ale nie była to klęska stanowcza, lada chwila mogli powrócić i powtórzyć napaść. Wojewodowie rozkazali jeńcom schronić się i ukryć w przyległych lasach. Każdy zatem zaopatrzywszy się w żywność, której dosyć było w opuszczonym obozie tatarskim, szedł do pobliskiego lasu. Tam postanowiono odpocząć. Dzieci i niewiasty zasiadły na obszernej polance leśnej, spożywając posiłek. Stach oczywiście znajdował się między dziećmi. Józek zaś ładował nieopodal do wózka znalezioną żywność.

Naraz rozchodzi się śród jeńców okrzyk trwogi i przerażenia:

— Tatarzy! Tatarzy! uciekajcie, uciekajcie!

Wszystko, co żyło, poczęło rozbiegać się w nieładzie. Stach puścił się przed siebie, zapominając o Józku. O niczem bowiem w tej chwili pomyśleć nie mógł, jak tylko o tem, że znowu może dostać się w ręce tatarskie. Józek też daremnie rozglądał się za bratem, wreszcie puścił się za uciekającymi, spodziewając się odnaleść Stacha.

Po godzinnej ucieczce, gdy nie ukazali się Tatarzy, jeńcy postanowili odpocząć. Ale śród bezładnej ucieczki i zamieszania, dzieci odłączyły się od matek lub krewnych, teraz też jedni szukali drugich. Matki szukały dzieci; dzieci zaś zawodząc żałośnie, szukały matki lub opiekunów. Józek nadaremnie szukał Stacha. Nigdzie go nie było, nigdzie nie mógł dopytać się o niego.

Zapewne ciekawi jesteście, co stało się ze Stachem. Oto biegł czas jakiś z innymi, jednak z każdą chwilą czuł większe zmęczenie, czuł, że mu gwałtownie sił ubywa; strach jednak przed Tatarami pędził dziecko naprzód, dalej, a dalej. Naraz zawadziła mu się noga o wystający korzeń drzewa; potknąwszy się, padł w gęste zarośla, uderzając głową o kamień.

Uderzenie było tak silne, że odjęło mu na chwilę prztomność; nim ją odzyskał uciekający, jeńcy nie dostrzegłszy upadającego Stacha, byli już daleko. Chłopiec oprzytomniawszy, z przerażeniem dostrzegł swoje osamotnienie. W gęstych zaroślach młodej sośniny był wprawdzie dobrze ukryty, lecz nie mógł leżeć na ziemi okrytej śniegiem. Zimno zmusiło biedne dziecko do opuszczenia kryjówki.

Wyszedłszy z zarośli, nie wiedział, w którą udać się stronę, ślady bowiem stóp ludzkich widać było w najrozmaitszych kierunkach. Uciekający bezładnie rozbiegali się widocznie w rozmaite strony.

— Józek! Józek! — powtarzał biedak żałośnie.

Zapłakany, przerażony, począł iść naprzód, bał się krzyczeć, aby go nie posłyszeli Tatarzy.



PRZYSIĘGA TADEUSZA KOŚCIUSZKI NA RYNKU KRAKOWSKIM

dnia 24 marca 1794 r.

Po dłuższem, nadaremnem poszukiwaniu towarzyszy, Stach był tak zmęczony, że dalej iść nie mógł. Trzeba odpocząć koniecznie, pomyślał, oglądając się za jaką kryjówką. Nie było w tem miejscu gęstych zarośli, zato ujrzał olbrzymi dąb z wielką dziuplą pośrodku.

Do dziupli jął spinać się nasz chłopczyna. W chwili jednak, gdy chciał wsunąć się do niej, spostrzegł, że nie była próżną. Wypełniały ją plastry słodkiego miodu, złożonego tu przez pracowite, dziko żyjące pszczoły.

Dziupla, wypełniona miodem, nie mogła posłużyć Stachowi za chwilowy przytułek, mógł przecież użyć spiżarnianych zapasów, złożonych tu przez skrzydlatych pracowników. Tembardziej, że nie broniły mu przysmaku same właścicielki, pozostające jeszcze w półśnie zimowym, a znajdujące się poniżej plastrów miodu. Dziecku dokuczał głód i ten doradził mu korzystać z napotkanego przypadkiem miodu. Wziął spory plaster miodu, przyda mi się, pomyślał, do chleba, który miał na szczęście w zanadrzu. Obawa jednak przed Tatarami nie pozwoliła Stachowi zasiąść do posiłku, lecz nakazała mu szukać innej kryjówki.

Gdy się za nią rozglądał, spostrzegł ciekawe widowisko. Oto z pnia dębowego wysunęło się naraz kilka spłoszonych wiewiórek.

Piękne mieszkanki lasu rozbiegały. się szybko na rozmaite strony. Niedługo czekał Stach na wyjaśnienie powodu trwogi biednych stworzeń Za jedną puściła się w pogoń drapieżna kuna leśna. Oba zwierzątka, mignąwszy się razy kilka śród drzew, zniknęły z oczu naszego chłopczyny. Stach zaciekawiony ujrzanem zjawiskiem, zbliżył się do wydrążenia, z którego wybiegły wiewiórki, a że wydrążenie było obszerne, wsunął się w nie. Zastał tu wygody o jakich marzyć nie mógł.

W dziupli nagromadzone były znaczne zapasy suchych liści i mchu To też było tu Stachowi i ciepło i miękko. Prócz posłania zastał tu także smaczny posiłek.

Oto znaczny zapas laskowych orzechów. Leśne gosposie, wiewórki widocznie zamieszkiwały owę dziuplę, w której znalazł przytułek nasz mały jeniec tatarski. Miód z chlebem i orzechami był prawdziwą ucztą dla wygłodniałego dziecka, za którą też podziękował Bogu w gorącej modlitwie. Trudy i wzruszeszenia doznane tak bardzo wyczerpały siły malca, że wkrótce zasnął w pałacu wiewiórki.

Gdy się przebudził, była noc, pogodna, gwiaździsta, ale też i mroźna. Dzieciak drżał z zimna i strachu. Położenie Stacha nie było do pozazdroszczenia, osamotniony w kraju zalanym nawałą tatarską, nie znający drogi, nie mający już żadnego innego pożywienia prócz małego zapasu orzechów i miodu.

Chłopiec widział przed sobą straszną przyszłość. Jeżeli bowiem pozostanie w swojej kryjówce, to czeka go śmierć z głodu lub mrozu, jeżeli ją opuści, to wpadnie w ręce tatarskie.

Na myśl tę chwyciły go silniejsze dreszcze.

— Ratunku! ratunku! — szeptał Stach.

Chciał wołać na ratunek Józka lub Księżnę Kingę, przypomniał sobie jednak słowa kobiety, z którą znajdował się w obozie tatarskim. Pamiętał, że powiedziała mu: »W każdej potrzebie należy wzywać pomocy Boskiej«; to też złożywszy małe zziębnięte ręce, począł głosem żałośnym modlić się:

— Ojcze niebieski! Panno Najświętsza! ulitujcie się nad biednym sierotą.

Wymówiwszy powyższe słowa, przypomniał sobie, że nie on tylko potrzebuje zmiłowania Boskiego. To też do słów powyższych dodał:

— Ojcze niebieski! miej też w swojej cudownej opiece Józka, księżnę Kingę, królewnę Jolantę i wszystkich nieszczęśliwych.

Gdy tak w modlitewnej postawie drżącemi ustami wymawiał słowa błagalne, naraz do uszów jego doszły dzikie jakieś głosy, niby wycia psów. Tak strasznie chyba psy nie wyją. Ach to jest wycie wilków, pomyślał. Na tę myśl włosy stanęły na głowie chłopca. Nie możemy się dziwić, że dzieciak tak bardzo przestraszył się przeraźliwego, nieustającego nawet na chwilę wycia wilków. Czekała go od nich nieochybna śmierć, lada chwila. Biedne dziecko, już modlić się nie mogło, lecz poczęło łkać w cały głos. Łkając, nie słyszał Stach nic więcej nad przeraźliwe wycie wilków; nie słyszał, że jakiś szelest zbliżał się ku niemu. Szelest jest coraz bliższy, coraz wyraźniejszy, naraz w uszy Stacha wpadają wyrazy, wymówione szeptem prawie:

— Cicho Stachu! cicho!

— Tyleż to Józku? — zawołał, dzwoniąc zębami, Stach.

— Ja jestem, cicho bądź! bo któż wie, czy niema gdzie w pobliżu Tatarów.

— A czy nie zjedzą nas wilki? — pytał Stach, patrząc w oczy brata.

— Nie bój się. Mają one wspaniałą ucztę na pobojowisku, pod Turskiem, tu nas szukać nie będą.

— A ja się ich tak bałem, okropnie — dodał Stach, tuląc się do brata.

Potem opowiedział dzieciak Józkowi swoje przygody, nie zapominając nawet o orzechach i miodzie. Józek wysłuchawszy dziecka, powiedział:

— Gdy śród uwolnionych jeńców nie znalazłem ciebie, wróciłem się, aby cię odnaleść koniecznie. Ot, widzisz, Bóg wszechmogący prowadził mnie dobrze.

— O! wysłuchał modltwy mojej — rzekł weselszym głosem chłopiec.

Przy kochającym bracie nie bał się niczego, czuł się tak bezpiecznym!

Rozumny Józek, nie był tak spokojnym, jak jego brat młodszy. Odłączywszy się od reszty jeńców i rycerstwa, musiał przekradać się z dzieckiem z nieustanną trwogą, jaka przejmowała chłopaka na myśl o krążących w okolicy Tatarach. Dobry chłopak nie zdradzał się jednak ze swemi obawami przed Stachem, lecz zwracając się do niego rzekł:

— Czy jesteś bardzo zmęczony i śpiący?

— Wcale nie — odpowiedział malec — wyspałem się doskonale i wypocząłem, ale mi bardzo zimno.

— Chwała Bogu, żeś wypoczęty i wyspany, będziemy mogli zaraz puścić się w daleką drogę. Idąc, rozgrzejesz się. No, wychodź! z wiewiórczego gniazda — to mówiąc, dopomógł chłopcu wygramolić się z głębokiej dziupli.

— Wprawdzie mam trochę żywności — rzekł Józek po chwili — ale i znalezionemi przez ciebie orzechami i miodem, nie trzeba pogardzać. Wybierz wszystkie orzechy, ja pójdę po miód, a potem, w Imię Boże, puścimy się w drogę. Do spalonego przez Tatarów Sandomierza nie mamy po co chodzić, trzeba nam wracać do Krakowa.

VI.

Ogień, krew i łzy.

Zostawmy obu braci powracających do Krakowa, a zajrzyjmy, co się tam dzieje.

Nawała tatarska nie doszła tu jeszcze, ale doszły tu już straszne wieści o klęskach zrządzonych ręką pogan. Wieści te napełniły trwogą nie do opisania całą ludność, która też z wiosek uciekała do Krakowa.

Wieści o spustoszeniach tatarskich, krwawiły serca księciu Bolesławowi i jego małżonce Kindze.

Księżna Kinga cierpiała bardzo, czuła się bowiem nie panią tylko, lecz kochającą matką narodu. To też drażliwe sumienie księżnej Kingi wyrzucało jej, że jest złą matką, że dzieci swych nie umie ratować od okrutnych pogan. Naraz czoło księżnej wypogadza się, radość niewidziana od dawna, na jej pięknem młodocianem licu, wykwita cudnym rumieńcem.

Cóż jest powodem nagłej radości? oto księżna Kinga przekonuje się, że może coś zrobić dla nieszczęśliwego narodu. Do tego miłego przekonania przyszła po rozmowie z mężem.

Książę Bolesław powiedział raz żonie, że krajowe rycerstwo nie potrafi osłonić Małopolski przed nieprzeliczoną rzeszą tatarską.

— Gdybyśmy mieli pieniądze, moglibyśmy pomyśleć o najemnych zaciągach, niestety skarb nasz stoi pustkami.

— Jakto pustkami? — wykrzyknęła księżna — wszakże w skarbcu książęcym leży mój posag.

— Tak — rzekł książę — posag twój leży w skarbcu, ten jednakże nie jest moją, lecz twoją Kingo własnością.

— Bolesławie, jak możesz mówić w ten sposób. Gdy inni w obronie kraju wylewają krew, tracą życie, czyż mogłabym pożałować mego posagu? Szczęśliwa jestem, że go posiadam, jedynie dlatego, że przy jego pomocy pozyskamy zbrojne zastępy, które zasłonią bezbronnych od dziczy tatarskiej. Bierz zatem mój posag i zbierajcie co rychlej najemne rycerstwo.

— Niech ci Bóg wynagrodzi za pomoc, użyję teraz twego posagu, lecz uważać go będę jako zaciągniętą pożyczkę, którą oddam ci w najkrótszym czasie.

— Nie mówmy teraz o tem — rzekła Kinga. — Bierz pieniądze i rób, co należy.

— Nie uwierzysz, Kingo, jak ulżyłaś memu sumieniu twoją ofiarą — rzekł wzruszony Bolesław — myśl ta, że nie potrafię zasłonić skutecznie mego kraju, sprawia mi niewymowną boleść. Oddając mi posag swój, dajesz mi możność przedsięwzięcia skutecznej obrony mego ludu. Dzięki ci, o dzięki!

Za posagowe pieniądze Kingi zebrano najemnych żołnierzy, z którymi rycerstwo krakowskie i sandomierskie ruszyło przeciwko Tatarom. Oba nierówne wojska stanęły naprzeciwko siebie, koło wsi zwanej Chmielnikiem, położonej w połowie drogi między Kielcami a Wiślicą. W niedzielę Białą ostatnią przed Palmową, wojska polskie i tatarskie stanęły naprzeciwko siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka** w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.